# NAOKOŁO ŚWIATA.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE,

POŚWIĘCONE OPISOM ZIEM, LUDÓW, PODRÓŻY, ZJAWISK PRZYRODY I WYNALAZKÓW.

№ 13 Warszawa, d. 26 (13) Marca 1904 r. Rok III.

Do artykułu „MACEDONJA I MACEDOŃCZYCY."

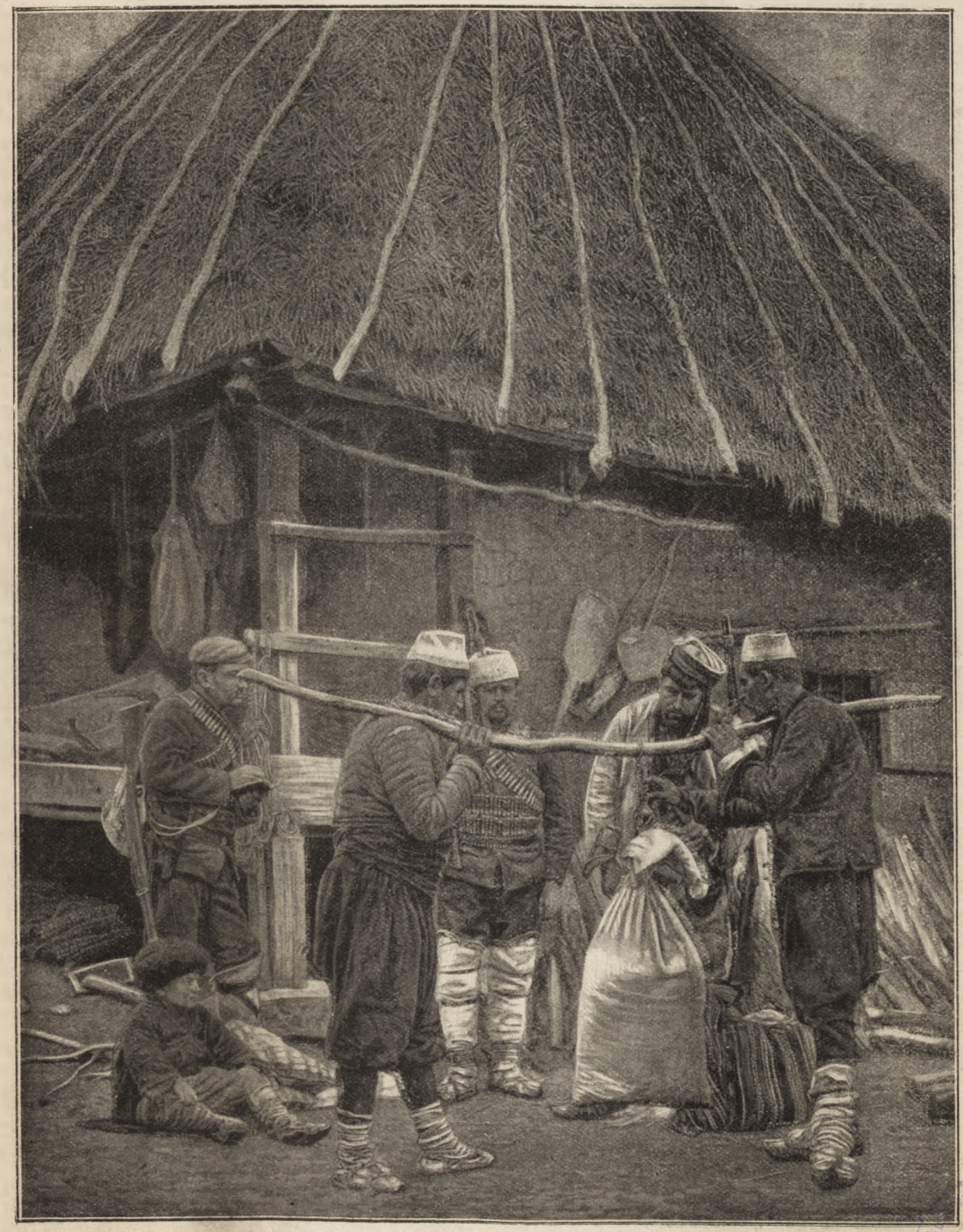

Powstańcy macedońscy na rekwizycji żywności

Antoni Miecznik.

# MACEDONJA i MACEDOŃCZYCY.

*(Dokończenie).*

Wkrótce gubernatorem Macedonji został mianowany Abdul-Abud-basza; otrzymał on prócz czterdziestotysięcznej armji nadzwyczajne pełnomocnictwa do działania. Ten gieneral był szczęśliwszy od swego poprzednika. Nie zdoławszy namówić powstańców do złożenia broni, ruszył na nich wstępnym marszem. Jakkolwiek rozpaczliwą była odwaga Macedończyków, jakkolwiek cudów waleczności dokazywali, nie byli w stanie utrzymać się długo na zajętych pozycjach. Abdul-Abud zdobywał jedno miasto po drugim, znacząc krwawemi śladami swój pochód zwycięski. Wkrótce też stanął przed murami klasztorów na górze Athos i gotował się do szturmu. Tymczasem jednak otrzymał polecenie od sułtana oszczędzenia miejsca świętego. Wysoka Porta uczyniła to ze względu na mocarstwa zachodnie, które groziły zbrojną interwencją w razie zrujnowania lub zbeszczeszczenia klasztorów, znajdujących się w wielkiej czci na Wschodzie.

Abdul-Abud zaczął się więc układać z oblężonemi o dobrowolne opuszczenie klasztoru, zamienionego na twierdzę. Dzięki pośrednictwu kompromisowo usposobionych notablów macedońskich, sprawa została pokojowo załatwiona. Pappas, już wówczas ciężko ranny, opuścił klasztor na greckich okrętach razem ze swojemi towarzyszami. Wielki ten obrońca wolności Macedonji nie dopłynął do zrzucającej jarzmo muzułmańskie Grecji: umarł w drodze do niej i został pochowany na wyspie Hydra.

Teraz dopiero poczuli zwyciężeni Macedończycy łaskę sułtana. Klasztory na górze Athos musiały zapłacić ogromną kontrybucję w ilości półtrzecia miljona piastrów (pół miljona rubli), oraz wydać licznych zakładników. W celu zapobieżenia dalszym buntom rozlokowano kilka tysięcy żołnierzy tureckich po wsiach i klasztorach półwyspu Chalcedyjskiego.

Pozostało jeszcze w południowo-zachodniej Macedonji kilka znacznych oddziałów powstańczych, mających na czele takich dzielnych mężów, jak Zaphirahis z Naussy i hoplarchigowie Gatzos i Karatassos. Stoczyli oni krwawą bitwę w sierpniu roku 1821 z Turkami pod Naussą, ale ją przegrać musieli, gdyż mieli do walczenia z pięćkroć silniejszym nieprzyjacielem. Powstanie było zgniecione: fanatyzm muzułmański zatryumfował.

Pojęcie ludzkie przechodzi, jak ciężko odpokutowali nieszczęśliwi Macedończycy za podniesienie chorągwi buntu. Dziesiątki tysięcy spokojnej ludności wymordowano w ciągu kilku miesięcy. Buchające płomienie palonych wsi i miast chrześcijańskich krwawym wieńcem otoczyły sławny niegdyś kraj grecki.

Z tej strasznej topieli zdołali się jednak wymknąć dowódcy powstania Gatzos i Karatassos. Razem z kilkudziesięciu armatolami zbiegli w góry Olimpu, postanawiając walczyć dalej. Pomimo przeważających sił nieprzyjacielskich potrafili się waleczni armatole utrzymać na swoich pozycjach, niedostępnych aż do wiosny r. 1822.

Dłużej niepodobieństwem było się opierać, zwłaszcza, gdy rozniecenie powstania w środkowej Macedonji nie udało się. Kraj cały był wyczerpany doszczętnie tak z ludzi, zdolnych do noszenia broni, jako też ze wszelkich zasobów materjalnych. Przytym wszystkie miasta otrzymały stałe załogi tureckie.

Wówczas Gathos i Karatassos opuścili z armatolami swoje kryjówki górskie i pociągnęli na południe, do Grecji, nad którą już błyszczeć poczynała jutrzenka wolności. Tu bohaterowi ci utworzyli ze swoich wojowników t. zw. „legjon macedoński,“ który się świetnie zapisał na kartach historji wojny o niepodległość Hellady.

Po utworzeniu w r. 1830 królestwa greckiego, znaczna część Macedończyków (przeważnie Greków) wróciła do kraju rodzinnego. W tym także czasie został ogłoszony firman sułtański, znoszący raz na zawsze wszystkie kapitanje armatolskie. Odtąd armatole, których także nazywano *Peliburami* albo *Kleftami*, mieli być traktowani przez władze na równi z pospolitemi rozbójnikami.

Oczywiście, wolni ci mieszkańcy gór, przywykli od wieków do noszenia oręża, ani myśleli zaprzestać walki z Albańczykami, obecnie już w znacznej części wyznawcami koranu i wiernemi poddanemi padyszacha. Lud południowo-zachodniej Macedonji po dawnemu spoglądał na nich, jako na obrońców swoich. Przedsiębierczy hoplarchigowie, nie zrzekszy się odziedziczonych po przodkach

godności wodzów zbrojnych gromad, w dalszym ciągu ucierali się z muzułmanami. Ani wojska tureckie, ani Albańczycy nie byli i nie są w stanie wytępić ich doszczętnie. Reprezentują oni żywioł helleński w Macedonji, a marzeniem ich jest wcielenie tej prowincji do Grecji.

IV.

**Zakończenie.**

Po stłumieniu pierwszego powstania w Macedonji, w którym udział główny wzięli Grecy, w r. 1851 nastąpił drugi ruch, o wiele słabszy od poprzedniego. Upłynęło potym parę lat spokojnych, a już później wrzenie na półwyspie Bałkańskim nie ustawało zupełnie. Na pierwszy atoli plan występują teraz Serbowie i Bułgarzy macedońscy, a występują jednocześnie przeciwko hegiemonji greckiej i przeciwko Turkom. Helleński wpływ i znaczenie stopniowo upada, cofa się — Słowianie chwytają się w Macedonji polityki zaczepnej. Terenem walki z Grekami jest kościół i szkoła. Porta stara się wyzyskać swoje położenie jako rozjemcy, co jej się wielokrotnie udaje.

W roku 1877 przychodzi do wojny pomiędzy Rosją a Turcją. Zdawało się, że wszystkie sprawy półwyspu raz na zawsze zostaną rozstrzygnięte i że zniknie z kancelarji dyplomatycznych tak zwana kwestja wschodnia. Rosja wprawdzie zwyciężyła potęgę Otomańską, ale skutkiem interwencji mocarstw zachodnich, zwłaszcza zaś Anglji, nie była w możności odnieść z wojny należytych korzyści. Na mocy pokoju w San-Stefano (1878) utworzono księstwo bułgarskie, do którego miało należeć dwie trzecie Macedonji, traktat ten jednak na kongresie berlińskim zmodyfikowano w ten sposób, iż cała prowincja macedońska wróciła pod berło sułtańskie. Wysoka Porta, wedle uchwał kongresu, zobowiązała się do przeprowadzenia licznych reform w wilajetach macedońskich, nie uczyniła jednak nic zgoła. Ludność chrześcijańska po dawnemu była gnębiona i prześladowana. Szczególnie zawiedli się w nadziejach swoich Bułgarzy macedońscy. Zaczęły się więc zaraz bunty, które Turcja musiała stale tłumić. Następnie rywalizacja w sprawach wyznaniowych i szkolnych pomiędzy Grekami a Słowianami trzymała całą prowincję w stanie ciągłego wrzenia.

Gdyby Macedonja była krajem, zamieszkanym przez ludność etnograficznie jednolitą, nigdyby nie doszła do tego nieszczęśliwego stanu, w jakim się obecnie znajduje.

Ale tu ścierają się aż cztery zasadnicze pierwiastki—panujący turecki, grecki, bułgarski i serbski.

Grecy mieszkają przeważnie w miastach, a pretensje swoje do całej Macedonji opierają na prawach historycznych. Według nich prowincja ta powinna w przyszłości należeć do spólnej greckiej ojczyzny. Oczywiście w dążeniach swych znajdują poparcie w królestwie odrodzonej Hellady, poparcie moralne i materjalne.

Bułgarzy, którzy w ostatnich czasach podnieśli głowy, również radziby Macedonję widzieć całkowicie w rękach bułgarskich, zarówno jak Serbowie—w serbskich.

Wódz powstańców macedońskich.

I tak się ciągle gotuje w tej prowincji, czekającej na rozstrzygnięcie losów swoich.

W ostatnich latach Bułgarzy przyszli do tego przekonania, że jedynym dla nich ratunkiem będzie zbrojne powstanie przeciwko Turcji. Zaczęły się więc tworzyć komitety macedońskie o charakterze bułgarskim, znajdując poparcie w księstwie.

Jak energicznie działały komitety i z jaką siłą rozszerzyło się powstanie w całym kraju, wiemy dobrze. Turcja wytężyła całą potęgę swoją, by niebezpieczny ruch stłumić, albowiem obawiała się słusznie interwencji mocarstw europejskich. Wszystko atoli napróżno!

Rosja i Austrja, jako państwa najbardziej zainteresowane w sprawach półwyspu, zażądały od Porty zaspokojenia żądań ludności

macedońskiej. Interwencję swoją motywowały uchwałami kongresu berlińskiego, który przyobiecywał Macedończykom ulżenie losu przez zaprowadzenie całego szeregu reform wewnętrznych.

Bułgarzy macedońscy jednak nie ufali Turcji i postanowili walczyć wytrwale do ostatka, zresztą zapragnęli doprowadzić do celu połączenie prowincji z księstwem.

Na to mocarstwa zgodzić się nie mogły dla różnych przyczyn: już to, że niesprawiedliwym wydało się im przyznanie wyłącznych praw do Macedonji Bułgarom, już też, że pragnęły dla utrzymania pokoju europejskiego zachować w całości państwo Otomańskie.

W roku 1903 na zjeździe w Mürzstegu przyszło do ostatecznego porozumienia się w sprawie macedońskiej pomiędzy Rosją i Austrją. Zobowiązano z jednej strony Turcję do wprowadzenia w Macedonji reform, a z drugiej komitety macedońskie do zaprzestania ruchów zbrojnych.

Nastąpiła zima, komitety zawiesiły swoją agitację, a Europa czeka na spokój w Macedonji.

Turcja zdaje się wahać z wprowadzeniem w czyn zobowiązań swych względem ludności chrześcijańskiej w Macedonji, radaby stoczyć stanowczą walkę z Bułgarją, w której powstańcy macedońscy znajdują poparcie i przytułek—ale grozi jej Austrja interwencją zbrojną.

Wszystko trwa w niepewności, wszystko przygotowywa się do stanowczej akcji. Jeżeli na tym półwyspie znowu wojna wybuchnie, będzie ona straszna, a niewiadomo, skutkiem nadzwyczajnych powikłań: kto z niej wyjdzie zwycięsko.

Ważą się więc losy tej ziemi historycznej, jabłka niezgody kilku narodów, przedmiotu rywalizacji kilku państw naraz, z których każde ma swoje właściwe pretensje.

Autonomja dla Macedonji przy przeprowadzeniu możliwie najściślejszego rozgraniczenia etnograficznego byłaby rzeczą najsłuszniejszą w tym wypadku, gdyby ta prowincja miała stanowić nadal jedną z krain tureckich. Natomiast wszelka inna ewentualność nie obyłaby się bez krwi rozlewu.

Nie ulega wątpliwości, że Turcja dobrowolnie nigdy się nie zgodzi na ustąpienie z Macedonji, ustąpiwszy bowiem musiałaby się cofnąć do Azji raz na zawsze. Nadto wchodzi tu w grę żywioł mahometański, rozsiany między ludnością chrześcijańską od Dardanelów aż do morza Adrjatyckiego: żywioł groźny i fanatyczny, dla którego potęga padyszacha-kalifa jest kwestją pierwszorzędnej wagi. Europa więc nie chce wywoływać „wojny świętej,“ nie chce, by jeszcze raz świat muzułmański obudził się i ruszył z całą zaciekłością fanatyczną na giaurów—i dlatego hamuje zapędy Macedończyków, dążących przedewszystkim do ostatecznego zrzucenia z siebie jarzma odwiecznego wroga.

A jednak musi nastąpić ta chwila straszna, kiedy Macedonja jeszcze raz zbroczy się krwią, by się do nowego życia odrodzić!

## O ciałach promieniotwórczych.

*(Polon — rad — aktyn).*

### VI.

(Chemiczne działanie ciał promieniotwórczych. — Działanie na kliszę fotograficzną, na papier, szkło i sole fosforyzujące. — Działanie fizjologiczne radu (na rośliny, zwierzęta). — Leczenie raka i wilka.

W rozdziale poprzednim omawialiśmy fizyczne własności soli radu i innych metali promieniotwórczych. Własności te, tak niezwykłe w oczach każdego badacza zjawisk przyrody, nie dałyby należytego pojęcia o pierwiastkach promieniotwórczych, gdybyśmy pominęli ich działanie chemiczne i fizjologiczne, na które w ostatnich czasach zwrócono szczególną uwagę.

Gdy mowa o chemicznych własnościach radu, należy umieścić na pierwszym miejscu działanie promieni na kliszę fotograficzną, dzięki któremu badacze mieli częstokroć ułatwione zadanie przy rozpoznawaniu ciał promieniotwórczych. Działanie fotograficzne polonu, radu i aktynu może być z łatwością ujawnione, gdyż klisza fotograficzna, owinięta w czarny papier, zostaje natychmiast wyświetlona, gdy ją zbliżymy do ciał promieniotwórczych. Najsłabiej działa polon, gdyż dla wyświetlenia kliszy należy sole polonu umieścić w małej odległości, przyczym promienie, przechodząc przez czarny papier, zostają w znacznym stopniu osłabione. W ciemności, gdy rurka z polonem znajduje się blizko kliszy, działanie to jest dość wyraźne.

W silniejszym znacznie stopniu działają

rad i aktyn, gdyż w odległości metra i więcej klisza może być wyświetlona.

W blizkości radu często daje się czuć obecność ozonu; warunki, w jakich ozon wytwarza się, nie są jeszcze dokładnie zbadane.

Papier, w który przez czas dłuższy była zawinięta rurka z radem, żółknie i staje się łamliwy; w podobny sposób zachowuje się i celuloid.

Wielce charakterystyczną rzeczą jest zmiana w zabarwieniu różnych ciał pod wpływem promieni radu. Naczynia szklane, w których przechowywano przez czas dłuższy ciała promieniotwórcze, zabarwiały się na żółto i fjoletowo; zauważono również i inne barwy (zieloną i niebieską), które były zależne od składu szkła. W czasie swej bytności w Warszawie w r. 1901 p. Skłodowska-Curie pokazywała kieliszek, który pod wpływem soli radu zabarwił się na fjoletowo. Giesel dostrzegł zabarwienie kryształków różnych soli. Platynocjanek baru pod wpływem ciał promieniotwórczych staje się szarym i traci zdolność fosforescencji, która na świetle dziennym powraca do poprzedniego stanu. Inne ciała fosforyzujące ulegają podobnej zmianie zabarwienia i zanikowi zdolności fosforyzowania. Nawet sole radu, znajdując się przez czas dłuższy w ciemności, przybierają żółtawą barwę.

Pierwsze próby, dokonane w celu zbadania wpływu promieni radu na świat roślin i zwierząt, wykazały rezultaty nader obiecujące pod względem naukowym, zarówno jak i praktycznym. Wpływ promieni radu na rośliny i organizmy niższe ujawnili Henryk Dixon, Willcock, Wigham i inni. Dotychczasowe próby dowiodły, że promienie radu posiadają własność powstrzymywania rozwoju roślin i bakterji. Na zwilżonym piasku zasiano rzeżuchę i w odległości jednego centymetra nad powierzchnią piasku umieszczono rurkę z 5 miligramami bromku radu. Po upływie dwu dni nastąpiło kiełkowanie roślin; przy dokładniejszym zbadaniu przekonano się, że rozwój roślinek, znajdujących się w najbliższym sąsiedztwie z radem (w promieniu 2 centymetrów) był nieco wstrzymany. Na starsze rośliny rad nie wywiera wpływu szkodliwego.

W celu przekonania się, jak działają promienie radu na pierwotniaki, umieszczono je w naczyniach mikowych w odległości 3 — 4 centymetrów od rurek, zawierających od 5—50 miligramów radu. Okazało się, że promienie radu zabijają słabsze osobniki, zanim te zdążą uciec, inne zaś giną przy silniejszym działaniu promieni, np. trzykrotne wystawienie hydry na działanie 50 miligramów radu z odległości 4 milimetrów wystarcza do jej zabicia.

Liść jakiejkolwiek rośliny traci część chlorofilu, żółknie i pokrywa się plamami ciemnemi, które giną po upływie paru miesięcy.

Niezmiernie ważne wyniki dały próby, dokonywane nad działaniem radu na bakterje. Pięć miligramów bromku radu, działając na różnorodne bakterje z odległości 4 — 5 milimetrów, nie zawsze je niszczą, wszakże mogą wstrzymać ich wzrost; dotyczy to gronkowców, laseczników tyfusu i zarodników karbunkułu. Bliższe badania nad działaniem na mikroby chorobotwórcze nie dały jeszcze określonych rezultatów. Pod względem leczniczym zwrócono szczególną uwagę w inną stronę, mianowicie na działanie radu na skórę. Podobnie jak i pod wpływem promieni Roentgena, skóra, wystawiona na promienie radu, czerwienieje, lecz znacznie szybciej i silniej. Gdy pod wpływem promieni Roentgena skóra czerwienieje po dniach kilkunastu, pod działaniem 25 miligramów bromku radu w ciągu kilku minut, powstaje silne zaczerwienienie skóry po upływie 20 godzin, a przy dłuższym trzymaniu rurki z radem (np. 2 godz.), powstaje zapalenie skóry, następnie tworzą się pęcherze, podobnie, jak przy silnym poparzeniu, mogą nawet utworzyć się rany, które goją się bardzo wolno.

Pod wpływem działania radu (w ciągu 4 — 5 minut) włosy zaczynają wypadać po upływie 2—3 tygodni, a gdy działanie to trwa dłużej (10 — 15 minut), następuje zapalenie skóry i tworzą się pęcherze.

Promienie radu działają nietylko na samą powierzchnię skóry: przenikają one do znacznej głębokości wewnątrz tkanek, wywierając tam swe działanie bakterjobójcze. Skorzystano z tego w celu leczenia wilka i raka. Leczenie wilka przy pomocy radu doprowadza do podobnych rezultatów, jak i leczenie promieniami Roentgena lub światłem łukowym. Nader dodatnie rezultaty otrzymano przy leczeniu raka i innych złośliwych nowotworów skóry. Po 5—8 tygodniowym leczeniu na miejscu rany utworzy się najczęściej gładka, mało widoczna blizna; niekiedy przez kilka tygodni po ukończeniu leczenia daje się wyczuć nieznaczne stwardnienie, które wkrót-

ce znika. Zabliźnione rany, o ile wskazują próby dotychczasowe, nie odnawiają się.

Z powyższego wynika, że do rzędu dwu znanych dotychczas czynników fototerapeutycznych, jakiemi są: leczenie promieniami Roentgena i skoncentrowanym światłem elektrycznym, przybył czynnik nowy, który może oddać cierpiącym na choroby raka nieocenione usługi. Dalsze próby w tym kierunku są prowadzone w wielu uniwersytetach zagranicznych, w instytucie medycyny doświadczalnej w Petersburgu i w Warszawie.

Działając na ośrodki nerwowe, rad wywołuje niekiedy paraliż, a nawet śmierć; myszy i świnki morskie po 48 godzinnym oświetleniu zdychały. Działając na siatkówkę oka, promienie radu wywołują wrażenie światła; ma ono prawdopodobnie źródło w samym oku, które pod wpływem radu zaczyna fosforyzować.

Oto w głównych zarysach badania nad fizjologicznym działaniem radu. Ze względu na doniosłe rezultaty, oczekiwane od radu, jako nowego środka leczniczego, należy sądzić, że wkrótce dowiemy się o nowych wynikach, osiągniętych na tym polu.

(*D. n.*). *Gabrjel Tołwiński.*

# MANDŻURJA.

(Z pamiętnika lekarza wojskowego).

*(Ciąg dalszy).*

Wstępują w związki małżeńskie zwykle chłopcy od lat 16, dziewczęta od 14.

Charakterystyczną cechą jest, że główną przeszkodę przy zawieraniu małżeństwa stanowi identyczność nazwisk nowożeńców, choćby od dziesiątków lat nie łączyły ich żadne węzły krwi.

Małżeństwa Mandżurów z Chińczykami są wzbronione, jakkolwiek zdarzają się wyjątki.

Cały proces swatania, oraz wybór obojga małżonków zależy najzupełniej od rodziców; sam obrządek dzieli się na dwa okresy: swatanie i zmówiny. Pierwszy okres wypełniają odwiedziny krewnych stron obu i określenie podarków, jakie pan młody powinien posłać swej oblubienicy, a będących właściwie zapłatą za żonę rodowi, z którego się ją „nabywa.“ Dary te, pod postacią koni, bydła, owiec, materji jedwabnych i różnych przedmiotów zbytku, nadto sprzętów, potrzebnych w gospodarstwie domowym, odsyłane są rodzicom panny młodej w ciągu dni kilku przez młodszych członków rodziny, którzy ciągle w palankinach, mniej lub więcej bogato przystrojonych, noszą je jak na procesji, w towarzystwie muzyki i poprzedzani chorągwiami.

Okres drugi, zastępujący część religijną małżeństwa, stanowi osuszenie czaszy małżeńskiej: w przystrojonym, wspaniałym palankinie, z muzyką i chorągwiami, krewni panny młodej wiozą ją do domu pana młodego. Po drodze, mężczyźni, jadący konno i kobiety w karetkach, puszczają rakiety. Przez ten czas w domu pana młodego urządza się przyjęcie; pan młody spotyka oblubienicę we drzwiach i na progu pije z nią wino i je, przyjmując ją w ten sposób do swego rodu, na czym kończy się cały obrządek.

Dalej następują odwiedziny krewnych stron obu.

Zwykle mieszkańcy uprawiają monogamję, nie pochodzi to jednak wcale z powodów moralnych lub religijnych, ale poprostu z biedy, ponieważ zamożniejsi mają po dwie i trzy żony.

Prawo w pewnych wypadkach zezwala mężowi brać sobie drugą żonę (naprz., jeśli w ciągu 2 lat nie ma dzieci). W takich razach pierwsza żona zostaje przy mężu lub przeprowadza się do jego krewnych.

Z powodu wielkiej śmiertelności śród ludności miasta Ażeche, srożącej się szczególnie latem, udało mi się zapoznać ze stroną obrzędową pogrzebów.

O śmierci któregokolwiek z członków rodziny oznajmia przedewszystkim wybudowany przed bramą jego domu namiot z żerdzi, z którego od wschodu do zachodu słońca rozlegają się prawie bez przerwy rozpaczliwe dźwięki muzyki.

Wewnątrz podwórza wznoszą się maszty; porozwieszane są na nich różnokolorowe, ażurowej roboty, papierowe chorągiewki i latarki; na samym podwórzu zaś wrą śpieszne przygotowania do pogrzebu.

Wszyscy krewni ubierają się w białe suknie z czerwonemi wypustkami na plecach, przepasują się białemi szarfami i wkładają nakrycia głowy takiegoż koloru. Jest to najgrubsza żałoba, którą uzupełniają białe pantofle, czyli „uły,“ zwane tak od nazwy trawy, podkładanej pod stopy.

Krewni i znajomi przez cały czas przygotowań pogrzebowych odwiedzają dom zmarłego, pocieszając swą obecnością osieroconych.

Tymczasem na podwórzu naprzeciwko bramy pośpiesznie wznoszą namiot pogrzebowy, zrobiony z żerdzi i obciągnięty z trzech stron płótnem; dach tego namiotu na rogach upiększony bywa drewnianemi ozdobami. Skoro tylko namiot zostanie wykończony, przenoszą do niego trumnę z ciałem zmarłego i umieszczają ją w głębi namiotu, którego przednią część zajmuje stolik ofiarny z stojącemi na nim lichtarzami i kadzielnicą.

Cała przestrzeń dookoła stolika zapełniona jest zwykle najróżnorodniejszemi ofiarami. W razie śmierci kobiety, w liczbie ofiar figurują nawinięte na karton kawałki materji, okazy ozdób kobiecych, statki domowe, szkatułki z fatałaszkami, klejonemi z drzewa, szafki z różnokolorowego papieru, w których mieści się minjaturowe gospodarstwo w postaci ogrodu z kwiatami, ptactwem i zwierzętami domowemi, odtworzonemi dość zręcznie. Są tu nadto lalki papierowe, przedstawiające krewnych i służbę zmarłego.

W innym kącie leży cała kupa placków i słodyczy.

W ten sposób wszystko, z czym zmarły miał do czynienia za życia, oddaje mu się po śmierci.

W namiocie pogrzebowym mężczyzny stoją przybory do palenia, leżą siodła i inne rzeczy, potrzebne mu w gospodarstwie.

Przed ołtarzem ofiarniczym, oddzielanym zwykle od trumny zasłoną, stawia się zrobionego z papieru naturalnej wielkości konia wierzchowego lub zaprzężonego do karetki, w jakich jeżdżą w Mandżurji.

W takiej postaci namiot z ciałem zmarłego pozostaje na podwórzu przez kilka tygodni.

Po zachodzie słońca, kiedy muzyka umilka, najbliższe krewne wchodzą do namiotu z rozpuszczonemi włosami i leżąc krzyżem po obu stronach grobu, śród płaczu i głuchego jęku, odmawiają jakieś modlitwy.

W przeddzień pogrzebu, po zachodzie słońca, w procesji z muzykantami, z zapalonemi latarniami wynoszą z podwórza wszystkie ofiary, które zgromadzone były dokoła ofiarnego ołtarza (materje, konie z bryczkami, lalki i t. d. na najbliższy plac, gdzie, ułożywszy to wszystko na kupę, palą.

Są to, prawdopodobnie, szczątki starożytnego kultu, kiedy na grobie męża zabijała się dobrowolnie żona, a służbę, konie zmarłego i cenne sprzęty zakopywano do ziemi.

Sam obrzęd pogrzebu odbywa się dnia następnego przed wschodem słońca.

Trumnę, przymocowaną do nosz, obliczonych na 8 osób, wynosi się za miasto, gdzie ją zakopują na pół łokcia lub poprostu stawiają na ziemi i sypiąc na nią ziemię, tworzą pagórek.

Na mogile odczytywane są te same modlitwy i czynione te same ofiary, co w namiocie.

Po powrocie do domu wszystkim uczestnikom ofiarowuje się poczęstunek.

Niektórzy mieszkańcy stawiają trumny swych krewnych na własnych polach i obmurowują je cegłą dokoła.

Czas żałoby różny jest w różnych wypadkach; naprz., po śmierci matki urzędnik obowiązany jest na 2—3 lata usunąć się z zajmowanej posady.

Pod względem religijnym, o ile udało mi się zauważyć, mieszkańcy odznaczają się wielką obojętnością, wyznawcy trzech głównych religji chińskich: konfucjonizmu, daossyzmu i buddyzmu żyją obok siebie w najlepszej zgodzie. Ani razu nie zauważyłem objawów nienawiści religijnej, jeśli nie liczyć pewnej niechęci względem mahometan, która zresztą pochodzi z przyczyn ekonomiczno-społecznych.

W mieście Ażeche i obok niego jest 6 świątyń, z których jedna świątynia Konfucjusza, druga—meczet.

Świątynia Konfucjusza odznacza się niezwykłą prostotą zarówno w architekturze zewnętrznej, jak i wewnętrznej. Cały szereg aforyzmów wielkiego mędrca, wypisanych złotem na czerwonych deszczułkach, mieści się w małych niszach, ubogo lub bogato przyozdobionych. Meczet mahometański nie ma wyglądu europejskiego; brak mu minaretu, a typ budowli i architektura przypominają świątynię buddyjską. Te same wygięte dachy, na rogach których poprzyczepiane są dzwonki, na grzebieniach kątowych zaś takie same psy i małpy, jak na świątyniach buddyjskich.

*(D. n.).* *P. W.*

# PANORAMA LUDÓW.

## XI.

## Ainowie.

(Pochodzenie. — Wierzenia religijne. — Charakter plemienny. — Sposób życia).

Ainowie stanowią resztkę znacznego niegdyś plemienia, które w czasach przedhistorycznych wzięło w posiadanie wyspy Japońskie, Kurylskie i Sachalin. Obecnie lud ten jest przedmiotem bardzo ciekawych studjów etnograficznych. Niektórzy uczeni twierdzą, że Ainowie tworzyli ludność pierwotną Ameryki północnej, inni znowu, że pochodzą z Polinezji, a jeszcze inni zaliczają ich do rasy kaukaskiej. Poważne atoli dowody językowe i obyczajowe przemawiają za uznaniem pokrewieństwa Ainów ze szczepem mongolskim.

Całe wieki musieli Japończycy walczyć z Ainami, zanim ich podbili. Zwyciężeni częścią zasymilowali się z plemieniem zwycięzców, częścią zaś pociągnęli na północ, gdzie ziemi smutnej, zimnej, nieurodzajnej, lecz za to wolnej—było poddostatkiem.

Wnętrze chaty Aina.

Dziś Ainowie mieszkają na wyspach Kurylskich, Yeso (Jezo) i na Sachalinie. Ogólna ich liczba sięga zaledwie 30,000. Jest to lud, z którego szybko ulatuje duch życia; przeszłości swej nie wypisał na kartach historji, teraźniejszość ma najeżoną dolegliwościami, a w przyszłości niedalekiej czeka go zagłada zupełna.

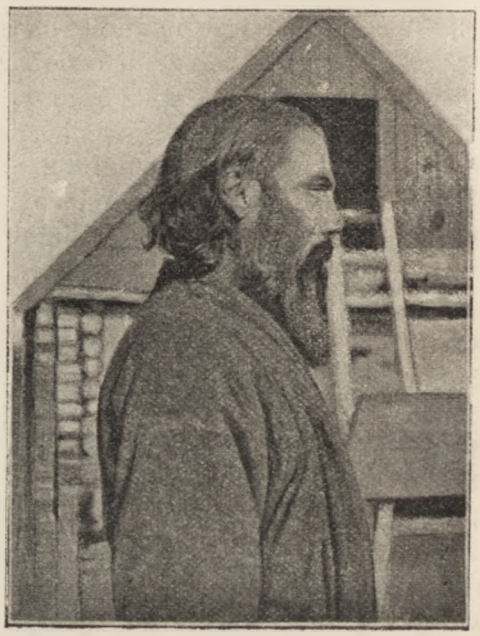

Typ Aina.

Wyraz „aino" w języku tych wyspiarzy znaczny: człowiek. Plemię to zatym nazwało się poprostu ludźmi. Japończycy, którzy zachowali tradycyjną nienawiść do Ainów, jako swych ongi zaciętych wrogów, nazwę ich rodową tłómaczą przez słowo: pies. Psami są dla nich ci ludzie, nawpół dzicy, co broniąc swojej odrębności plemiennej, nie zdołali sobie wytworzyć żadnej kultury.

Ainowie odznaczają się niezwykle obfitym zarostem czarnym; długie włosy, gęsta broda i ogromne wąsy nadają im pozór surowy i groźny. W rzeczywistości jednak są łagodni, uprzejmi i gościnni. Barwę skóry mają bielszą, aniżeli Mongołowie, kształt czaszki podobny do europejskiej, a z nosa przypominają niekiedy bardzo włościan rosyjskich.

Myśliwstwo i rybołóstwo dostarczają im środków do życia. Aino jest odważny i śmiały, z oszczepem rzuca się na niedźwiedzia, nie bojąc się śmierci.

W ciągłym obcowaniu z naturą, zdala od wszelkiej cywilizacji, Ainowie wytworzyli sobie pewne wierzenia, które w ogólnych zarysach są te same, co wierzenia szyntoistów japońskich.

Kobieta ainoska.

Po ziemi krążą, według nich, duchy złe i dobre; dobre są obojętne dla Aina, albowiem krzywdy mu czynić nie mogą, natomiast obawia się złych. Niebo również jest zaludnione duchami, nad któremi panuje duch najwyższy czyli Bóg. Ainowie są przesądni i ciągle żyją pod grozą czyhającej na nich zemsty legjonów bóstw podrzędnych. Starają się ich przebłagać składaniem ofiar, gdyż przypisują im skłonności i upodobania ludzkie. Na cześć ich wbijają w ziemię wysokie żerdzie, których wierzchołki opatrzone są różnemi fetyszami, niezgrabnie wyrzeźbionemi. Te znaki bóstw poświęcone nazywają się *inaos*.

Na Sachalinie, gdzie Ainów mieszka około 3.000, misjonarze rosyjscy próbowali ich nawracać, jednak do tej pory praca ta nie wydała oczekiwanych owoców.

Ainowie nie są bez zdolności, kształcą się dość chętnie w szkołach japońskich, ale przejąwszy się cywilizacją, już więcej nie wracają do swoich sadyb ojczystych. W Japonji stają się Japończykami, a ci, co otrzymali wykształcenie w zakładach rosyjskich — Rosjanami.

Język Ainów jest podobny do języka Aleutów; pisma nie znają, natomiast do liczenia używają pewnego systematu węzłów na sznurach, przypominającego żywo sposoby rachowania dawnych mieszkańców Peru.

Domy budują sobie z drzewa, którego mają obfitość; budynki to obszerne, ponieważ służą niekiedy za mieszkanie dla kilku rodzin. Pośrodku zwykle płonie ognisko, a nie gasi go się nigdy, gdyż dla Ainów ogień wyobraża duszę bóstwa. Stłumić płomień żywy znaczy tyle, co zabić ducha. Rozpowszechniona też jest u nich wiara w metampsychozę. Dusza Aina po śmierci przechodzi w zwierzę, mniej lub więcej szlachetne, stosownie do czynów dobrych lub złych nieboszczyka.

Ainowie przed chatą.

Jakie były u nich rządy w okresie bytu

niezależnego, niewiadomo. Ainowie wogóle o przeszłości swej mało i niechętnie mówią. Obecnie atoli panuje pewien porządek komunistyczny. Wszystko, co należy do jednej rodziny, jest spólne i podziałowi nie podlega. Sprawy sporne oddaje się sądowi, złożonemu ze starych członków gromady. Są to szczątki pierwotnego ustroju patrjarchalnego.

Małżeństwa z miłości śród Ainów prawie niema. Aino kupuje sobie żonę, za którą nie dostaje żadnego wiana. Jeżeli nie posiada majątku, musi u swego przyszłego teścia przez pewien czas pracować za darmo.

Zarówno wielożeństwo, jak wielomęstwo *(polyandria)* jest u nich w zwyczaju. Bogaty Aino, gdy mu się pierwsza żona zestarzeje, żeni się z drugą, młodszą, która jednak w domu jego ma stanowisko podrzędne.

Kobiety tego ludu są przeważnie nieładne, a szpeci je w dodatku pewien rodzaj tatuowania wierzchniej wargi. Natomiast są to niezmiernie troskliwe matki i zabiegliwe gospodynie; gdy mąż poluje lub udaje się na połów ryb, niewiasta krząta się koło domostwa. Na jej głowie leży nietylko przyrządzanie posiłku, lecz także szycie odzieży.

Ainowie mają nader nieliczne potomstwo, dzieci wogóle rodzi się mało, stąd rodzice o nie bardzo dbają.

Głównym pożywieniem Ainów sachalińskich są ryby, zwłaszcza łososie i śledzie, które jedzą oni zarówno gotowane, jak i surowe. Ainowie z wyspy Jezo w ostatnich czasach zajęli się uprawą roli, zachęceni do tego przez rząd japoński, dbający szczerze o podniesienie ich dobrobytu.

Niedawno jeszcze pisano o Ainach, jako o ludzie niezmiernie dzikim i niezdolnym do żadnej kultury. Były to bajki, nie zasługujące obecnie na wiarę. Spółcześni badacze tego plemienia, do którego także należy jeden z najlepszych znawców ludów syberyjskich, W. Sieroszewski, przyszli do wręcz przeciwnych wniosków.

W niejednym z dzisiejszych dostojników japońskich, tych właśnie, co kulturę europejską tak skutecznie zaszczepili na wyspach Wschodzącego Słońca, płynie sporo krwi brodatego Aina.

Miejmy nadzieję, że zanim ten lud rozpłynie się w żywiołach pokrewnych, zostanie przedtym szczegółowo i sumiennie zbadany w całym zakresie swoich właściwości plemiennych. *am.*

# Współczesna żegluga morska

napisał

MARJUSZ ZARUSKI,

*sztuurman marynarki handlowej.*

*(Ciąg dalszy.)*

Wrócimy jednak do naszego brygu. Idzie on $5^1/_2$ rumbów od wiatru, t. j. tak ostro jak tylko może iść statek rejowy. Reje, pod ostrym kątem do płaszczyzny djametralnej ustawione, przedniemi swojemi końcami opierają się o sztagi, tylnemi—o wanty. *Kurs* taki względem wiatru nazywa się kursem *pod wiatr* albo *bejdemwindem* (niem. bei dem Winde) (fig. 85,A).

Dyrektywą dla sternika jest tutaj nie kompas, lecz górne żagle (bom-bramsle lub bramsle), których lekkie trzepotanie się wskazuje sternikowi granicę dopuszczalną odchylenia się nosa okrętowego od kierunku wiatru. W nocy zaś charakterystyczny szum wiatru w żaglach ostrzega go, jeżeli zbyt ostro pod wiatr steruje. Kurs pełniejszy, przy którym płaszczyzna djametralna z kierunkiem wiatru stanowi kąt 90°, nazywa się kursem *w pół wiatru* albo *halfwindem* (niem. mit halbem Winde) (duńsk. Halw-wind) (fig. 85B). Jeżeli statek jeszcze pełniej idzie, tworząc z kierunkiem wiatru kąt rozwarty, kurs jego wtedy bedzie kursem *w trzy ćwierci wiatru* albo *baksztagswindem* (niem. Backstagswind) (fig. 85C). Wreszcie kursem *z wiatrem, z pełnym wiatrem (flis na hys)* albo *fordemwindem* (niem. vor dem Winde), nazywa się kurs, tworzący z kierunkiem wiatru kąt 180° (fig. 85D). Przy wszystkich tych kursach z wyjątkiem fordemwindu rozróżniać należy, która burta okrętu na wiatr jest wystawiona. Zależnie od tego prawe lub lewe halsy (liny u dolnych rogów żagli) będą wyciągnięte i uwiązane. Musimy więc nazwę kursu uzupełniać słowami: *prawym* lub *lewym halsem*. Otrzymamy w ten sposób: *bejdemwind prawym halsem*, *halfwind lewym halsem* i t. d.

Widzimy więc, że statek żaglowy nie może nigdy płynąć w kierunku wprost przeciwnym kierunkowi wiatru. Jeżeli tedy punkt, do którego on zdąża, leży w tej stronie, skąd wiatr wieje, statek zmuszony jest zbliżać się do niego zygzakiem, t. j. płynąć pod wiatr po kolei—to prawym, to lewym halsem. Żegluga taka nazywa się *lawirowaniem*. Rzecz oczy-

wista, że statek przy tym co pewien czas musi zrobić zwrot więcej niż na 90°, a jeżeli się zważy, że jedynym jego motorem są żagle, stanie się zrozumiałym, że zwrot taki jest zarazem próbą sprawności załogi. Najkorzystniejszym i dlatego zawsze — o ile stan mo-

Fig. 85.

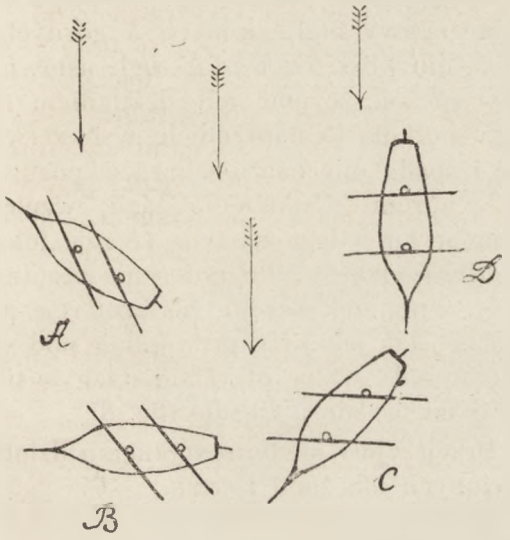


rza na to pozwala—praktykowanym zwrotem jest *zwrot przez sztag* (*owersztag*), przy którym statek nosem zwraca się ku wiatrowi, przechodzi linję wiatru i „kładzie się“ na nowy hals. Jakże zwrot taki można osiągnąć? A priori, na zasadzie tego, co wiemy już o ożagleniu okrętów, możemy powiedzieć, że przy tym zwrocie — dla zwrócenia okrętu na drugi hals — należy zmniejszyć moment obrotu przednich żagli i zwiększyć—moment tylnych: wtedy okręt około środka bocznego oporu wody zacznie się obracać jak koło osi, aż przejdzie przez linję wiatru i legnie na nowy hals. Tak też i postępuje się w praktyce: z początku, idąc nieco za wiatrem, nadaje się rozpęd statkowi, a gdy ten dostateczny pęd już uzyska, komendą: „do zwrotu! w prawo (lub lewo) ster na burtę! odwiń kliwer-szkoty!“ daje się sygnał do manewrowania żaglami, które na tym polega, że przez puszczenie na wiatr szkotów sztag-żagli i kliwrów, oraz równoczesne podciągnięcie grot-szkota środek ożaglenia przesuwa się ku rufie, wskutek czego nos okrętu szybko zacznie zwracać się ku linji wiatru. Wtedy przednie żagle napełniają się ze strony przeciwnej, legną na maszt i stengi, a jednocześnie *przebrasowane* na nowy hals grot-żagle *ostengują się* również (przylgną do steng) przez co tym szybciej nos będzie się zwracał w jedną stronę, a rufa—w drugą, co właśnie potrzebne jest do zupełnego zwrotu. Gdy powodzenie zwrotu już zapewnione, uwiązuje się sztag i kliwer-szkoty i przebrasowuje wreszcie fok-żagle na nowy hals. Tak uskutecznia się zwrot na brygu, który będzie służył nam za punkt wyjścia do tłómaczenia manewrów okrętu. Brak miejsca nie pozwala nam na podobne rozpatrzenie tego zwrotu na statkach innych typów; czytelnik jednak, który z poprzednich rozdziałów poznał już zasady ożaglenia rozmaitych statków i pojął dostatecznie skombinowane działanie wiatru i wody na bieg okrętu, z łatwością samodzielnie wypełni te luki.

Zwrot przez sztag przy równym wietrze i niewielkiej fali prawie zawsze jest pewny; na wzburzonym wszakże morzu, nawet przy najsprawniejszym spółdziałaniu załogi, nigdy nie można zaręczyć, że zwrot ten się uda: żeglarze znają to przykre uczucie, gdy okręt, który oni mimowoli przywykli uważać niemal za istotę żywą, zwróciwszy się bukszpirem wprost przeciw wiatrowi, przez kilka chwil jakgdyby namyśla się, co dalej począć, a potym z wzrastającą szybkością zaczyna powracać do pierwotnego kierunku... Na pełnym morzu to jeszcze pół biedy: potrzeba znowu ustawić żagle tak jak były poprzednio i wzią-

Fig. 86.

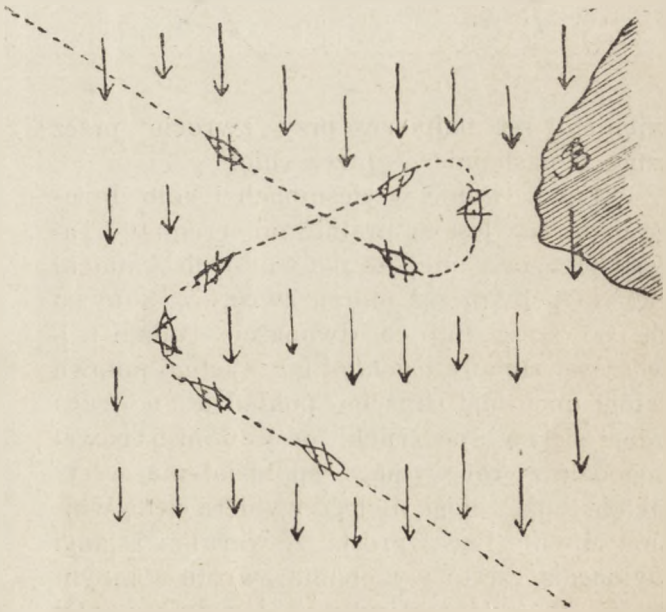


wszy rozpęd, próbować drugi raz szczęścia. Ale jeżeli brzeg, kamienie podwodne, lody lub inne jakie groźne przeszkody w pobliżu nie pozwalają na wzięcie należytego rozpędu? Wtedy niezwłocznie statek musi wykonać *zwrot przez rufę*, który też powszechnie z po-

wodu, iż statek na chwilę staje w położeniu fordewind względem wiatru, *zwrotem przez fordemwind* zowią. Przy tym zwrocie statek zakreśla połowę ósemki, poczym dalej nowym już halsem żegluje. Manewr ten bryg wykonywa w sposób następujący: grot bierze się na gejtawy *) i brasuje reje grot-masztu, dopóki wiatr z żagli nie wyjdzie i żagle nie zaczną trzepotać. Statek tymczasem przy pomocy steru i żagli przednich zatacza koło, które im mniejsze będzie — tym lepiej. Gdy statek znajdzie się na linji fordemwindu, reje fok-masztu powinny być ustawione poprzecznie, a reje grot masztu przebrasowane już na nowy hals. Następnie brasuje się fok-reje i grot-żagiel rozwija. Szkoty sztag-żagli i kliwrów przez ten czas powinny być przeniesione na nowy hals. Figura 86 przedstawia kolejne położenia brygu z odpowiednim ustawieniem rei najpierw przy zwrocie przez sztag, a następnie — przez rufę.

Fig. 87.

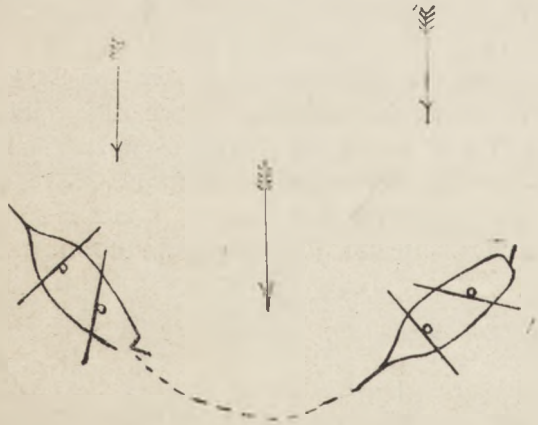

Lawirowanie w cieśninach i koło brzegów zależne jest naturalnie od terenu, t. j. zarysu brzegów, mielizn, podwodnych kamieni etc. Na pełnym zaś morzu zwroty wykonywa się co sześć lub co dwanaście godzin t. j. w czasie zmiany *wachty*, gdy jedna połowa załogi obejmuje straż na pokładzie, a druga udaje się na spoczynek: przy dobrej nawet pogodzie zwrot wymaga spółdziałania wszystkich ludzi załogi, dlatego wybiera się tę właśnie chwilę. Rzecz prosta, że warunki żeglugi wymagają często wykonania zwrotu w innym czasie—i ostateczną instancją decydującą w tej sprawie jest istotny pan losów okrętu—szyper.

Wiemy już, jak skomplikowaną i wymagającą dużego nakładu pracy całej załogi rzeczą jest rozwinięcie żagli. Dlatego też zwija się żagle tylko w chwilach istotnej potrzeby—najczęściej wtedy, gdy nie ma się zamiaru rozwinąć ich w krótkim czasie. Na morzu jednak czasem zachodzi potrzeba zatrzymania biegu statku na krótko, np. dla spuszczenia lub podjęcia na pokład szalupy, dla przeczekania mgły lub końca nocy w pobliżu portu, do którego statek podąża itp. Wtedy po wzięciu na gejtawy żagli dolnych i górnych, po spuszczeniu kliwrów i sztag-żagli ustawia się w taki sposób, że pod ich działaniem okręt zatacza półkola to naprzód, to wstecz (wznosi się i spada) nieznacznie bardzo posuwając się z wiatrem. Ustawienie żagli, względnie rei, na brygu polega na tym, że reje fok-masztu *odbrasowuje się* do położenia zasadniczego, t. j. wpoprzek okrętu, zaś grot reje pozostawia się tak jak były przy kursie pod wiatr (bejdemwind *). Ster przystani odchyla się na wiatr i tak go się uwiązuje (fig. 87).

Przyjrzyjmy się teraz spólnemu działaniu ustawionych tak żagli i steru.

(*C. d. n.*)

*) Liny, podciągające żagiel do rei lub masztu. *Przyp. aut.*

*) Lee w dryf można tylko z kursu bejdemwind. *Przyp. aut.*

PIOTR LOTI.

# INDJE.

w przekładzie

JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

*(Dalszy ciąg.)*

*26 grudnia.*

Krakanie wron jest tu w Indjach takim podłożem dla wszystkich hałasów, że wreszcie staje się rzeczą zwyczajną. Budząc się, nie zwracam już, by tak rzec, uwagi na ich capstrzyk bliski, przeraźliwy, towarzyszący głosom stłumionym ze świątyni. Wielkie drzewo przed tarasem mego domu jest zazwyczaj grzędą ich sejmową, drzewo wielkie, obsypane kwieciem różowym, kitami kwiatowemi, przypominającemi kwiaty naszych kasztanów, tylko znacznie sutsze; gałęzie jego aż do świtu uginają się pod ciężarem tego ptactwa czarnego.

Rankiem dnia tego, o niezmiennej godzinie wschodu, z chwilą gdy łuna pierwszych promieni gore pośród liści, pod kopułą zielonych pió-

ropuszów, siadam do powozu i jadę do obwodu zawarowanego—z wizytą do Maharani (królowej).

Przebywszy portyk, znowu jestem w okręgu tych świętych zbiorników, gdzie, jak każdego ranka, bramini, zanurzeni do połowy w wodzie, sprawują modły i ablucje.

W tym mieście murowanym, które przecinam tym razem wcześniej niż poprzednio, znajdują się wyłącznie siedziby książąt, w głębi ogrodów, pośród drzew palmowych; są tu również ulice, zasłane skromnemi lepiankami, zamieszkane jednak, jak inne, tylko przez krajowców klasy uprzywilejowanej. Ten wczesny ranek jest właściwą porą uroczą, kiedy podłużnookie gospodynie, każda przed swą siedzibą, robią ranną toaletę terenu. Na ziemi czerwonej, mocno bitej i skrzętnie zamiecionej, wyprowadzają za pomocą białego proszku, przedziwne desenie ułudne, które potym rozniesie najlżejszy powiew wiatru, lub stopy przechodniów lub kroki kóz, psów i kruków nieproszonych. Czynią to szybko, bardzo szybko, dopomagając sobie w połączeniach niewidzialnemi znakami, uprzednio zrobionemi; wdzięcznie pochylone przeprowadzają pośpiesznie po powierzchni rodzajem małej piaseczniczki, w której mieści się proszek — i wszędy wysnuwa się z pod niej biała smużka, jak taśma bez końca. Rozetki zagadkowe, figury gieometryczne powstają czarodziejsko z pod ich palców, a gdy praca się skończy, zatykają często tu i owdzie, na każdym głównym skrzyżowaniu tych figur, kwiat hibiskusu lub goździk indyjski lub złoto-żółty kaczyniec. Tym sposobem przybrana ulica od rogu do rogu, czyni wrażenie ułudne kobierca, rozpostartego na jedną godzinę poranka.

Pozatym cała ta dzielnica posiada cechy wytworności staropańskiej, pokoju szlachetnego i godności wyszukanej.

Przed bramą wejściową do ogrodu Maharani, ciż sami wyćwiczeni żołnierze w zawojach czerwonych, czyniący honory, prezentujący broń przy dźwięku bębnów i piszczałek. Na ganku pałacowym wita mnie książe, mąż jej, który wyszedł był na spotkanie; przyjęcie pełne najwytworniejszej ogłady i wdzięku; podobnie, jak Maharadża, okazał wiele dobrego smaku ubrany po swojemu – w zielonej szacie aksamitnej, w zawoju z białego jedwabiu, w blasku djamentów, co nie przeszkodziło mu bynajmniej, by został erudytą i człowiekiem pióra.

Maharani przyjmuje w salonie na pierwszym piętrze, który — o, zgrozo! – przybrany meblami europejskiemi, lecz w którym ona sama, w swym stroju narodowym, jest żywym uosobieniem Indji. Profil posiada równy, rysy prawidłowe, wielkie oczy prześliczne, całą piękność swą rasy. Idąc za tradycją rodu Naye, upina swe włosy czarne, jak dżety, naprzód gładko z boków przyczesując, a potym łącząc je w rodzaj toczka lśniącego, który spada naprzód i rzuca cień na czoło. Przy każdym uchu z nadmiernie wyciągniętą dolną częścią olbrzymia zausznica z djamentów i rubinów. Aksamitny stanik odsłania nagie ramiona, otoczone drogiemi kamieniami, a szata jedwabna złotem obrzeżona, cała w deseń wyszukany, osłania ją, jak posąg. Można sobie wyobrazić, jak owa wytworność, która rozciąga się aż do klas najniższych, okazuje cały swój wyraz naczelny w tej pani dostojnej i pochodzącej ze starej rodziny panującej. Ponad tym jednak wszystkim na czar Maharani składają się: słodycz powściągliwa, stateczność ujmująca i życzliwość uważna.

(*C. d. n.*)

# Najstarszy i najnowszy SAMOCHÓD.

Powszechnie utarte mniemanie, że samochody należą do najnowszych wynalazków w dziedzinie środków lokomocji kołowej, jest bezwarunkowo błędne. Ostatnie czasy dały nam tylko rozmaite ulepszenia, jak np. motory parowe zastąpiono naftowemi, benzynowemi lub elektrycznemi, zmieniono budowę i powiększono szybkość i siłę pociągową, sam jednak wynalazek zaliczyć należy do drugiej połowy XVIII wieku.

Pierwszy samochód, zbudowany przez Cugnot'a, ukazał się na ulicach Paryża w r. 1769, nie był on już jednak pierwszą w tym kierunku próbą. Jednocześnie z nim, a nawet o kilka lat wcześniej nad zastosowaniem pary, jako siły pociągowej, pracowali już Francuz Savery, Anglik Robinzon, słuchacz uniwersytetu glasgowskiego, uczeń i przyjaciel Watt'a. Później, w r. 1801, w dzień Bożego Narodzenia dwaj również Anglicy, Murdock i Trerithik, wypuścili swój pierwszy samochód w małym kornwalijskim miasteczku Camborne. Pracując ciągle nad ulepszeniami w tym kierunku, w dwadzieścia lat później zbudowali wehikuł, podobny cokolwiek do arki Noego z olbrzymim, wystającym kominem (rys. 1), o ruchu powolnym i ociężałym. Naturalnie, że tego rodzaju omnibus, nie przed-

stawiając spodziewanych udogodnień, nie mógł się ostać zbyt długo—usunięto go wkrótce, jako wynalazek mało praktyczny w stosunku do potrzeb życia codziennego.

Po tej niefortunnej próbie nastąpiła długa przerwa. Umysły zajęły się kolejami żelaznemi, powierzchnia ziemi pokryła się siecią nowych dróg, po których z niezmierną szybkością zaczęły przebiegać wężowe cielska pociągów; zdawało się, że w takich warunkach samochody nie mogą mieć najmniejszej racji bytu. Dopiero czasy najnowsze, widząc niczym niezapełnione luki w komunikacji podmiejskiej, szczególniej przy wielkich zbiorowiskach ludzkich, lub pomiędzy drugo i trzeciorzędnemi miastami, gdzie budowa kolei, choćby wązkotorowej, nie opłaciłaby swego nakładu, zwróciły się po ratunek do dawnego wynalazku. Pojawiły się więc znowu samochody, z roku na rok zmieniane i ulepszane, bądź to jako pojedyncze pojazdy, bądź, jako całkowite pociągi.

Dziś zwykły samochód wyścigowy posiada szybkość 130 wiorst na godzinę, czyli prześcignął najszybszy pociąg kurjerski, zwyczajny zaś równa się w biegu pocztowym pociągom, przy obecnej jednak budowie normalny samochód jest zbyt małym do przewożenia ciężarów. Chcąc użyć samochodu jako środka przewozowego, próbowano przyczepiać do niego odpowiedniej wielkości furgony, tworząc w ten sposób pociąg kołowy; pociągi te jednak okazały się nadzwyczaj mało obrotnemi, szczególniej na wszelkich zakrętach drogi, a z powodu braku równowagi pomiędzy ciężarem samochodu i przyczepionych furgonów, przy najmniejszej pochyłości furgony ciężarem swoim wpadały na ciągnący je samochód lub w razie wznoszenia się pod górę, odciągały go na dół.

Samochód angielski z r. 1820.

Dopiero w ostatnich czasach zarządzający parkiem wojskowym w Meudon, Renard, wynalazł nadzwyczaj dowcipny przyrząd, przy którego pomocy pociąg, złożony z sześciu do ośmiu furgonów, może się swobodnie poruszać po zwykłych szosach i bitych drogach z szybkością 18 do 30 wiorst na godzinę, podejmując do 600 pudów ładunku.

Wzór takiego pociągu wystawiono przed paru laty w „Palais de Beaux Arts“ na wystawie samochodów. Składał się on z najzwyczajniejszych furgonów do przewożenia ludzi i ciężarów, a cała jego nadzwyczajność polegała na przymocowaniu do nich specjalnych przyrządów. Przyrządy te są dwojakiego rodzaju. Jedne łączą pomiędzy sobą furgony i samochód w ten sposób, że na zakrętach dróg każdy furgon toczy się samodzielnie, lecz po tej samej drodze i po tym samym łuku, co każdy poprzedni, tak, że konduktor nie potrzebuje się kłopotać o kierunek ostatnich furgonów. Ten więc przyrząd warunkuje równomierność i rytmiczność ruchów pociągu bez względu na ilość furgonów. Drugi przyrząd pozwala konduktorowi hamować jednocześnie samochód i każdy z furgonów, oraz ułatwia wznoszenie się pociągu pod górę, nawet przy lekkim stosunkowo samochodzie.

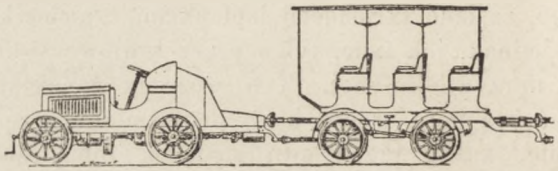

Pociąg bez szyn, poruszany za pomocą samochodu.

Każdy zwyczajny pociąg kolejowy lub samochodowy posuwa się naprzód dlatego tylko, że wagony ciągnie lokomotywa lub samochód; w przyrządzie Renard'a samochód nie ciągnie furgonów, lecz tylko wyrabia siłę konieczną do poruszania się ich. Siła ta, za pomocą przechodzącego pod furgonami walca i pewnego systemu kół zębatych, obraca tylne koła każdego furgonu, zamieniając je w swojego rodzaju samochody. W ten sposób każdy furgon porusza się samodzielnie, nie hamując ruchów samochodu, ani go popychając; tego zaś rodzaju rozkład siły poruszającej pozwala pociągowi bez kłopotu i niebezpieczeństwa wchodzić na góry i scho-

dzić na dół. Rzecz prosta, że pociąg samochodowy Renard'a nie może zastąpić pociągu kolejowego, w każdym jednak razie staje się niezmiernie pożytecznym w miejscowościach, gdzie kolei niema, lub w komunikacjach podmiejskich i tutaj szeroka przed nim otwiera się przyszłość. Obecnie pułkownik Renard tytułem próby puszcza w Paryżu pociąg, złożony z czterech lub pięciu furgonów i wszyscy z niezmierną ciekawością oczekują wyników tej próby. *A. Boh.*

# Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo." „Restado estas morto"

**„Grupy", „Kluby", „Towarzystwa" Esperantyczne.** — Towarzystwa tego rodzaju znane są najbardziej w świecie esperantycznym pod nazwą: „Grup". Pomimo jednak tak skromnej nazwy, miewają one najczęściej od 100 do 300 członków, a niektóre z nich, jak np. w Paryżu, w Ljonie, w Dijon itd. — liczą nawet o wiele więcej. *Francuzkie Towarzystwo Popagandy Języka Esperanto* (Paryż) posiada już kilka tysięcy członków, należących do różnych narodowości i zamieszkałych we wszystkich częściach świata. Podajemy tu długi wykaz wszystkich tych Towarzystw w porządku alfabetycznym według miast:

**Agde** (Francja) — *Prezes* Towarzystwa: Prof. Marcel (lingwista), Rue de la Promenade, 6. *Sekretarz:* P. Authebon, Prof. au College.

**Albert** (Francja) — Towarzystwo Esperantyczne, założone w lutym r. b. Bliższych szczegółów nie ogłoszono jeszcze.

**Algier** (Afryka Północna) — *Prezes* Towarzystwa: H. Terry. *Sekretarz gieneralny*: A. Capé, Boulevard Gambetta, 17. (Towarzystwo to, zorganizowane niedawno dzięki staraniom kapitana artylerji A. Capé, liczyło w styczniu r. b. około 200 członków śród któych spotykamy: prezydenta miasta, prefekta policji, dyrektora Instytutu Pasteura, wielu wybitniejszych profesorów, inżynierów, oficerów, urzędników, przemysłowców, kupców i wreszcie wszystkich, rezydujących w Algierze konsulów państw zagranicznych, jak np. gieneralnego konsula Austro-Węgier: Ottona de Remy, Rue d' Isly, 63; gieneralnego konsula włoskiego, Giovanni' ego Machiavelli' ego, Rue de Strasbourg, 9; konsula szwajcarskiego J. Borceaud, Boulevard Carnot, 12 itd.)

**Amiens** (Francja) — *Prezydent Honorowy* Towarzystwa: Jules Verne, głośny autor podróży popularnonaukowych. *Prezes urzędujący*: Charles Tassencourt, konsul Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. *Sekretarz-Założyciel Towarzystwa:* Prof. Joseph Delfour „Censeur des études au Lycée".

Towarzystwo to liczy już 300 z górą członków.

**Amsterdam** — *Prezes* Towarzystwa: Dr. Dreves, Uiterdijk. *Sekretarz:* S. de Vries, Damstr. 24.

**Annecy** (Francja) — *Prezes* Towarzystwa: P. Bouchet, Prezydent Izby Handlowej, Rue Vaugelas. *Wice-Prezes:* H. Boucon, Prof. liceum. *Sekretarz:* Ch. Marteau, Prof. liceum i archeolog.

**Antwerpja** — *Prezes* Towarzystwa Dr. A. van Langermeesch. *Sekretarze:* Dr. R. van Melckebeke (chemik), Avenue des Arts, 22 i Leopold Jamin, le lieutenant au 8-e de ligne.

**Archangielsk** — Filja Petersburskiego Towarzystwa: „Espero". *Prezes-Założyciel* filji (1899): Aleksander Zakrzewski, Troickij Prospekt, dom Ananina. *Sekretarz:* W. Ignatow, urzędnik konsystorza.

**Beaune** (Francja) — *Prezes* Towarzystwa, Dr. Vesoux. *Sekretarz*: Jean Cyrot, Rue Thiers, 13

**Berlin**. „Esperantisten-Gruppe". *Prezes* Dr. Schmidt. *Członkowie Zarządu*: J. Borel, H. Jurgenson, H. Philipp i W. Seeger. *Wice Prezes i Sekretarz Honorowy*: J. Borel, Prinzenstrasse, 95.

**Berno-Brno-Brünn** (Morawy). „Austrja Societo de Esperantistoj" en „Freya" Zelny Trh, 24. Zebrania co piątek. *Prezes*: August Skaunic, Przicznì Ulice, 24. *Sekretarz* Jan Kajz, Ulica Franciszka Józefa, 102.

**Besançon** — *Prezes* Towarzystwa: Dr. Louis Saint-Loup, Prof. i Dziekan Honorowy Uniw. *Sekretarz:* Raymond Vautherin, inżynier au Vieilles-Perrieres.

**Beziers** (Francja). — Klub Esperantyczny przy tamtejszym „Towarzystwie Języków obcych." *Prezes:* P. Ain, Prof. kolegjum. *Sekretarz:* A. Carles, Rue des Balances, 3.

**Bombay** (Indje Angielskie). O grupie esperantycznej w Bombaju zawadomił redakcję czasopisma „Lingvo Internacia", Prof. Ernest Tarbouriech (Paryż, Rue du Sommerard, 19), który, bawiąc chwilowo w tym mieście, poznał tam członków grupy a mianowicie pana Peltier, nauczyciela języka francuskiego, oraz pp. Sunny-House'a i Apolla Bundera. Szkoda tylko, iż p. Tarbouriech nie podaje bliższych ich adresów.

*(C. d. n.)* *abb.*

# Kronika pogody.

Tydzień ubiegły zaznaczył się pogodnym i dość ciepłym stanem powietrza; w przeciwstawieniu do ubiegłych dni, słońce świeciło dość długo, sprawiając prawdziwy przedsmak wiosny. Na początku tygodnia (począwszy od d. 17 marca) w całej Europie były nizkie ciśnienia powietrza; na Litwie zjawił się antycyklon ze środkiem wysokiego ciśnienia w Wilnie (771 milim.) i odtąd datować się zaczęły dni pogodne i ciepłe. Skutkiem małego zachmurzenia nieba, ziemia, promieniując, oziębiła się, co powodowało przymrozki nocne, gdy we dnie świeciło słońce, sprawiając znaczne podwyższenie temperatury. Te wahania temperatury trwały prawie cały tydzień (do dnia 22-go), poczym niebo było coraz bardziej zachmurzone, przy suchym stanie powietrza.

Temperatura uległa w Europie małej zniżce.

# Od Administracji.

## Przypominamy sz. prenumeratorom, że czas odnawiać przedpłatę na kwartał II-gi.

## NADESŁANE.

SKŁAD ARTYKUŁÓW FOTOGRAFICZNYCH

J. i W. KASPRZYCKIEGO

w Warszawie, Nowy-Świat № 45.

Poleca: najnowszych systemów aparaty, klisze i wszelkie materjały, w zakres fotografji wchodzące. Posiada własne laboratorjum oraz **altanę**. Wykonywa: zdjęcia, wywoływanie klisz, kopjowanie, retuszowanie, powiększanie etc. etc. Wyrabia: wywoływacze, utrwalacze, wiraże—tiksaże pocztówki i t. p **Najtańsze źródło.**

144 26—11

**Telefon № 2426.**

Skład tytoniu

*S. Chorczenko*

**77. w Warszawie, ulica Marszałkowska 77.**

Firma powyższa niewątpliwie zadowolni każdego, kto lubi

**dobre tytonie, cygara i papierosy,**

jest bowiem zawsze zaopatrzona

**w wielki wybór** 10—2

najlepszej flory tytoniowej Turcji, Kaukazu i Krymu.


Treść № 13: Macedonja i Macedończycy (z rysunkami — dokończenie) przez *Antoniego Miecznika.* — O ciałach promieniotwórczych (ciąg dalszy) przez *Gabrjela Tołwińskiego.* — Mandżurja (ciąg dalszy) przez *P. W.* — Panorama ludów (z rysunkami) przez *am.* — Indje (ciąg dalszy) w przekładzie *Józefa Jankowskiego.* — Współczesna żegluga morska (z rysunkami — ciąg dalszy) napisał *Marjusz Zaruski* — Najstarszy i najnowszy samochód (z rysunkami) przez *A. Boh.* — Kronika esperantyczna (ciąg dalszy) przez *abb.* — Kronika pogody przez *G. T.* — Od administracji. — Ogłoszenia.

Treść „Bibljoteki ilustrowanej podróży i powieści:" Biały wódz. Opowiadanie z życia mieszkańców Ameryki Środkowej przez Mayne Reid'a (str. 145—152).—Azja w płomieniach, powieść Féli-Brugière i Louis Gastine, tłómaczyła A. Wodzińska (str. 97—104).

*Warunki przedpłaty* **Tygodnika „Naokoło Świata:"** *w Warszawie rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1. Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50, kwartalnie rb. 1.25. Zagranicą rocznie rb. 6;* wraz z **„Bibljoteką ilustrowaną podróży i powieści":** *w Warszawie rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50.—Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 7 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 75, kwartalnie rb. 1 kop. 88. Za granicą rb. 9.— Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop. 20.—Cena numeru kop. 10.*

Agientura w Łodzi: Księgarnia L. Fiszera, Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, ulica Wspólna Nr. 71**

Agientura w Częstochowie: Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.

Agientura na Galicję: Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej, Kraków, Pl. Marjacki 2.

Wydawca: **Antoni Orłowski.** Za redaktora: **Antoni Orłowski.**

**Дозволено цензурою, Варшава, 10 Марта 1904 г.** **Drukarnia R. Kaniewskiego & W. Wacławowicza, Zielna 20.**